

# PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

21

Wampiry, nie mieli, wyraźnego, specjalnego języka; rodzaj wstrętnego śmiechu i mrużenia, którym objawiali gniew swój lub zdziwienie, był jedynym dźwiękiem jaki u nich słyszałem.

Kiedy chcieli się porozumieć między sobą, stawał jeden naprzeciw drugiego i udzielali sobie wzajemnie swoich spostrzeżeń, wpatrując się w siebie i odgadując w ten sposób myśli wzajemne, jak to czynią odgadujące myśli ludzkich.

Obznajomiłem się z tymi szczegółami i wielu jeszcze innymi w krótkim bardzo czasie. Z początku Wampiry, krążyli wolno koło mnie, jakgdyby onieśmieleni, a może aby mnie przekonać, że nie żywią co do mojej osoby żadnych złych zamiarów. Jeden z nich zawiódł mnie do podziemnej sali, która uszła mojej bacności, a która zawierała wielką obfitość zapasów, mogących mi służyć do pożywienia.

Okazał się nawet grzeczny do tego stopnia, że otworzył na moją intencję, pokrywę jakiegoś słoja, posługując się przy tej czynności długimi ssawkami, których miękkie i wilgotne dotknięcie nabawiało mnie takiego wstrętu.

Członki te, w ilości pięciu z każdej strony, które przyrównywałem do kłębka żmii, posiadały nadzwyczajną siłę i sprawność.

Podobne to było i do łap, a właściwie palców i do szczypców długich i miękkich. Wampiry, posługiwali się nimi zresztą i szybko; podejmowali z ziemi przedmioty najdrobniejsze, zawiązywali w zgrabny węzełek cienką nitkę i poruszali z wielką dokładnością wszelkimi narzędziami i bronią.

Niekiedy chodzili na tych zeszytywniałych mackach ze skrzydłami opuszczonymi ku ziemi, na podobieństwo motylów — to znowu zawieszali się niemi u sklepienia, rozciągając je jak pijawki. Ciekawym ich obyczajom, przyglądałem się zawsze z ciekawością.

Usłyszawszy słowo „ssawki“ — lord Frymcock nie mógł się powstrzymać od spojrzenia żałośnie, na swoją pokaleczoną rękę. Ale tylko jeden Pitcher zauważył ten zwrot i uśmiechnął się uspakajająco do kuchmistrza.

— Widziałem — mówił Robert Darvel — jak dźwigali bez wysiłku największe ciężary.

Co zaś do skrzydeł, lekko zaokrąglonych, nie były one mięsiste i powykęcane jak u Erloorów, prawdziwych mamiferów. Składały się z jakiejś twardej, a lekkiej substancji, na przykład jak u świtezianek i niektórych owadów.

Jednakże, pomimo przyjacielskich stosunków jakie utrzymywałyśmy dotąd, nie mogłem długi czas przyzwyczaić się do tych wstrętnych oblicz larw ohydnych, żelatynowatych i sinych, a przecież mających w sobie coś z ludzkiej twarzy! Te oczy bez powiek, błędne i bez wyrazu, jak oczy umarłych, sprawiały mi ciągle nieprzyjemne uczucie, którego opanować nie byłem w stanie. Chciałem koniecznie przezwyciężyć ten wstręt, chcąc bliżej studyować te oryginalne istoty, ale przychodziło mi to z wielką trudnością. Miałem wrażenie, że mieli poczucie swojej wstrętnej brzydoty, bo uważałem, że nieśmiało unikali mojego spojrzenia.

Nie wiedząc jak wejść w bliższe zetknięcie się z nimi, próbowałem raz narysować na deszczulce, kawałkiem węgla, owoc najczęściej spotykany na planecie; wielki kasztan wodny. Pokazałem ten rysunek z daleka jednemu Wampirowi, który jak zauważyłem poświęcał mi najwięcej zainteresowania. Ku mojej radości zrozumiał od razu i odpowiedział rysując z najdrobniejszymi szczegółami ten sam owoc na drugiej deszczulce, poczem, odbiegł szybko, rozłożywszy szeroko skrzydła do lotu i powrócił w krótkim czasie, niosąc owoce żądane przezemnie.

Odtąd coraz częściej używałem tego środka komunikacji, do którego wkrótce dołączyłem inny. Zaprowadziłem mojego przyjaciela Wampira do sali gdzie były nagromadzone haftowane materye i dałem mu do zrozumienia, aby skompletował dla mnie te obrazy przez własnoręczne rysunki.

Chwilę stał nieruchomy, jakgdyby zastanawiając się, poczem ujął mnie ostrożnie za rękę i postawił naprzeciw siebie. Czas jakiś stał tak przedemną, usiłując odgadnąć moje myśli, poczem uczynił to, co od niego żądałem.

Doświadczenia te powtarzały się coraz częściej, ale nie oddziaływały na mnie dobrze, nabawiały mnie bólu głowy i silnego zdenerwowania.

Ale mój przyjaciel Wampir, nadużywał czasem

swojej siły hipnotycznej; zdarzało się niekiedy, że byłem zmuszony pomimo woli, na życzenie tego potwora, słuchać jego rozkazów i napróżno starałem się uwolnić z pod tego niepożądanego wpływu.

Zmuszał mnie na przykład do zatrzymania się w chwili kiedy szedłem i do powrócenia do niego, albo rozkazywał mi udać się do oddalonej galeryi, celem obejrzenia jakichś ciekawych, niewidzianych jeszcze przedmiotów. Muszę jednak dodać, że zamiary mojego oryginalnego inicjatora, były zawsze dobre; starał się usilnie zrozumieć mnie, ale pomimo jego szczerych wysiłków, a mojej dobrej woli, nie mogliśmy się we wszystkim porozumieć. Istniała między nami przepaść, nie do wypełnienia. Niektóre z moich pojęć, odczuć i wrażeń, musiały na zawsze pozostać dla niego niezbrane i niezbadane.

Nie mogłem poczynić wiele spostrzeżeń i notatek o narodzie tych niezwykłych istot, zapomocą tych rozmów bez słów.

Dowiedziałem się tylko z rysunków, zręcznie wykonywanych przez tego potwora, kawałkiem miękkiego węgla, że nie obce im wszystkim były, moje barwne w najskrajniejsze wypadki, ciekawe przeżycie na planecie Marsa. Wyrysował mi dokładnie pierwszą porażkę Erloorów, zwyciężonych ogniem, śmierć Rombra i podobizny dosyć trafne moich biednych Marsjanów i małej przyjaciółki Eeoys. Dał mi do zrozumienia, że Wampiry, byli o ile mieli do tego ochotę, zręcznymi rzemieślnikami i uprawiali niejedno rzemiosło. Przodkowie ich wybudowali wieżę z kryształu rżniętego i wszystkie podziemne morskie galerye, nagromadziwszy w nich wszystko to, co oglądałem. Z pewną dumą opowiadał mi na swój sposób o tych zdobyczach. Oni zaś, Wampiry nowocześni, uprosili tylko używanie niejednego przedmiotu i narzędzia i nie oddawali się już żadnej specjalnej pracy. Jedynym ich zajęciem było poszukiwanie za żywnością.

Zapytałem go, czy żyli długie lata; z wielkim trudem zrozumiał moje zapytanie.

Wstrętne jego oblicze wyrażało głęboki smutek i rezygnację, a skrzydła jego poruszyły się niespokojnie.

— Ja także będę zmuszony niedługo umrzeć — odpowiedział mi sposobem sugestyi.

Poczem stanął przedemną i ośm razy wznosił i opuścił swoje łapy, wskazując mi tym sposobem ilość czasu, jaki mu pozostaje jeszcze do życia.

Ale czy mówił o tygodniach, miesiącach, czy latach, tego nie mogłem się dowiedzieć, choć starałem się go zmusić do jaśniejszego wytłumaczenia się.

W kilka dni dopiero później, poznałem prawdę. Zauważyłem, że Wampirów wszystkich opanowało dziwne przygnębienie. Zdawali się być pod wpływem i władzą wyższej istoty, której imienia wymienić mi nie chcieli, a która jak utrzymywali posiadała potężną władzę odgadywania z oddalenia wszystkich ich czynności i myśli. Wampir udzielił mi tych wyjaśnień, drżąc całem ciałem i objawiając ogromne przerażenie.

Był tak smutny i przygnębiony, że uczulem litość dla tej biednej, bezsilnej istoty.

Na podobieństwo starożytnych Minotaurów, ten Moloch, którego obrazowe hafty na tkaninach, przedstawiały jako półkule promienne, wymagał każdego miesiąca daninę z żywych Wampirów, które natychmiast pożerał. Nikt, oprócz wybranych ofiar, nie śmiał przekroczyć granic puszczy i mórz, wiecznie huczących grzmiecami burzami i huraganami, gdzie przebywał ten potwór potężny. Obrął on sobie miejsce zamieszkania w stronach południowych, najgorętszych na planecie.

Próbowano zaspokoić go innymi ofiarami — odrzucał wszystko. — Tylko Wampiry byli dla niego zerem odpowiednim, a jeszcze zjadał tylko ich głowy, uznawszy łapy i skrzydła jako niedość strawne dla jego delikatnego żołądka. Niedługo, w dawnych czasach, ofiary tych uczt krwawych, usiłowały się zbuntować i tłumnie, za ogólną zgodą, oddały się ku stronom północnym planety. Ale napróżno. Wszędzie dosięgła ich straszna zemsta żarłocznego bożka i pokonała. Całe zastępy wież kryształowych zostały zniszczone w proch od uderzeń pioruna. Wampiry, z niezwalczonej i niewidzialnej siły zostali wydarci z kryjówek, gdzie się w popłochu schronili. Straszny potwór dosięgnął ich w najgłębszych pieczarach, w szczelinach skał i gór, w najciemniejszych gąszczach odwiecznych lasów.

Te krwawe kary odniosły swój skutek; od pewnego już dłuższego czasu, żaden bunt nie zorganizował się przeciw wszechwładnemu tyranowi, każdego miesiąca przeznaczona liczba biernych, zrezygnowanych ofiar, przygotowywała się do lotu w przekłętą, południową stronę — aby więcej nie powrócić.

Wampir, służący mi za tłumacza, chciał zapewne dać mi do zrozumienia, że pozostawało mu tylko ośm miesięcy wolnych do odlotu, i że kiedy jego kolej nadejdzie, pospieszyć będzie zmuszony aby ofiarować dobrowolnie swoje życie straszemu Molochowi.

Te zapewnienia jednak nie zdawały mi się być prawdopodobne; przemożna potęga, prawie cudowna władza tego żarłocznego potwora wydała mi się przesadzoną i ubarwioną legendą, jak również nie bardzo chciało mi się wierzyć we wzrost jego olbrzymi i niezwykły. Wampiry utrzymywali, że głową dosięga wielkiej góry, a otoczony jest zewsząd koroną płomieni.

Myślałem początkowo, że to może wulkan lub jakiś fenomen natury tego rodzaju, którego ofiarą musieli paść niegdyś skrzydlaci mieszkańcy tej części planety i to zapewne w okolicznościach, które spotęgowały ich przerażenie i niezatarte wspomnienie pozostawiło w ich lękiem podnieconych wyobraźniach. Ale w rzeczywistości nie wiedziałem co o tem myśleć.

Wogóle Wampiry nie lubieli wspominać o tym przedmiocie i okazywali wielki smutek i przygnębienie, gdy starałem się koniecznie skłonić ich do zwierzeń w tym kierunku, a nawet raz, mój przyjaciel-tłumacz dał mi do zrozumienia, abym o straszonym bożku nigdy już nie wspominał, gdyż drażni to tylko niepotrzebnie jego towarzyszy. A jednak przekonałem się, że było coś z prawdy w jego pierwszych zwierzeniach, bo byłem sam świadkiem w dniu wyznaczonym odlotu konwoju Wampirów ku południowi.

Było to widowisko, które na długo pozostanie w mojej pamięci. Nie powiedziałem wam jeszcze, że od chwili odkrycia tych niewidzialnych istot, nie zdejmowałem kaski opalowego tylko w godzinach przeznaczonych na wypoczynek. Tego dnia właśnie, przespawszy się kilka godzin przed zachodem słońca, odbyłem długą wyprawę po licznych galeryach, kiedy uwagę moją zwróciły szalone okrzyki, wycia, wybuchy ostrego śmiechu, co jest u Wampirów objawem głębokiego wzruszenia.

Nałożyłem spieszenie mój kask opalowy i wybiegłem po spiralnej pochyłości, aż do kryjówek, do których nie obawiałem się już zaglądać, wiedząc, że mnie tam nic złego spotkać nie może.

Olbrzymie wewnętrzna przepaść wypełniona była tłumem Wampirów, które w szalonym pędzie latały wokoło, w nieopisanym popłochu, wydając żałosne jęki i okrzyki przerażenia. Nigdy nie wyobrażałem sobie aby te potwory o wyglądzie zimnym i odpychającym mogły odczuć tak głęboko boleść i niepokój. Jednakże, po chwili, każdy z Wampirów objął swoje miejsce w przeznaczonej mu kryjówce, nie przestając zawodzić i lamentować i ujrzałem jak ci, którzy zajmowali kryjówki najwyższe, tuż obok platformy, łapczywie wypróżniali miseczki napelnione krwią po same brzegi.

W tej chwili Phoibos i Deninos wypłynęły wolno na horyzoncie, jaśniejące żywym blaskiem na tle czystego i spokojnego nieba. Na ten widok wziosła się orgia szalonych, rozpaczliwych okrzyków. Byłem nimi wprost ogłuszony. I nagle Wampiry, z najwyższego rzędu, uniosły się miarowem uderzeniem skrzydeł, wyrzucając ku księżycom ostatnią żałosną skargę i sformowały się w trójkąt, jak to czynią stada dzikich gęsi i jaskółek, przygotowując się do zimowego odlotu corocznego. I prawie natychmiast, nie oglądając się poza siebie, sunęły szybko ku południowej stronie. Odlotowi temu długo towarzyszyły jęki i płacz pozostałych towarzyszy, którzy wiedzieli, że i oni wkrótce podążą tą samą drogą! Ze wszystkich najdalej położonych kryształowych wież, wśród morza, wzbijały się te odloty, powiększając zastęp nieszczęśliwych, biegnących ku pewnej śmierci. Rozdzierające okrzyki napelniały powietrze. Ten wrzask przenikliwy, podobny do śmiechu szaleńca, czynił na mnie wstrząsające wrażenie.

Pojmowałem teraz jasno, że poza wstrętną maską Wampirów, znajdowała się ich dusza inteligentna i podatna na cierpienie. Odkryciem tem byłem głęboko wzruszony i przejęty. Przyznaję, że litość szczerą zrodziła się we mnie dla tych niezwykłych stworzeń i szukałem sposobu ratowania ich przed obłędem przerażeniem, jakie wywierał na nich daleki, bezwzględny potwór krwiożerczy.

Wkrótce połączone zastępy Wampirów utworzyły gęstą chmurę, zasłaniającą jak ściana horyzont południowy i powoli znikła zupełnie we mgle jasnej.

Na obszernej platformie kryształowych wież wycia i okrzyki przycichły.

(Ciąg dalszy nastąpi)